

Bogusław Kaczyński - uzurpuję sobie prawo do kształtowania świata

Przyjechał Pan do Sanoka, by spotkać się z publicznością festiwalu im. Adama Didura, i niemal natychmiast zapowiedział wyjazd - bo obowiązki wzywają...

Podjąłem się pewnego zadania. Jest to projekt międzynarodowy: książka, poświęcona Fryderykowi Chopinowi, która zostanie wydana w Londynie. Album będzie zawierał nie tylko teksty i zdjęcia, ale w makietę będą wmontowane specjalne kieszonki, w których znajdą się fotokopie dokumentów, drukowane na takim papierze, na jakim drukowane były one kiedyś, w swojej epoce. Czytelnik, przeglądając książkę, będzie mógł wyjąć z kieszonki dokument – na przykład list Chopina do rodziców albo jego korespondencję z wydawcami, i na bieżąco uczestniczyć w życiu kompozytora, dotykać historii. To będzie przepiękny album (widziałem podobny, poświęcony Rembrandtowi), dlatego właśnie bardzo się zaangażowałem i pragnę go napisać. Praca dobiega końca, ale termin musi być dotrzymany. Kieszonki będą robione ręcznie w Hongkongu, już zarezerwowane są terminy w drukarniach. Wszystko musi być przygotowane na czas. Nie śpię po nocach, myśląc o tym przedsięwzięciu. Chcę dotrzymać terminu, a wcześniej wszystko wyszlifować, aby oddać tak poważny album do druku z okazji Roku Chopinowskiego.

Proponuję, abyśmy cofnęli się w czasie, do Pana dzieciństwa, pierwszych kontaktów z muzyką.

Pierwsze chwile, które wspominam z rozculeniem, wiążą się z domem rodzinnym. Moi rodzice nie byli muzykami zawodowymi, ale byli bardzo muzykalni, muzykowali w domu, pięknie śpiewali, i uczyli dzieci - moją siostrę i mnie - muzyki od najmłodszych lat. Miałem nieco ponad dwa lata, kiedy po raz pierwszy posadzono mnie przy pianinie i uczono grać. Wystąpiłem na scenie pierwszy raz, mając trzy i pół roku, w dużej sali, przed tłumami publiczności. Śmieję się, że odniosłem wtedy wielki sukces, ponieważ dwukrotnie bisowałem - jedyny utwór, jakiego mnie nauczono, króciutki, na dwie linijki. Widok małego dziecka, wyprowadzonego przez ojca na scenę, które nie płacze, nie marudzi, tylko siedzi, gra, równiutko kładąc paluszki - wywarł na wszystkich kolosalne wrażenie. Od tego momentu nieustannie występuję przed publicznością. Zmieniają się formy mojej wypowiedzi: kiedyś grałem, potem pisałem, mówiłem, ale ciągle tematem jest sztuka i artyzm.

Działalność Pańskiego ojca w czasie wojny, jej konsekwencje, odcisnęły trwałe ślady na Pańskim dzieciństwie?

Mój ojciec - co przecież nie było niczym nadzwyczajnym, taki był los wielu Polaków



Bogusław Kaczyński

© J. Multarzyński

- od wybuchu wojny był zaangażowany w konspirację. Mieszkaliśmy w Białej Podlaskiej. Ojciec pracował w wytwórni samolotów, został tam zatrudniony jako specjalista, skierowany z Warszawy. Była to największa fabryka zbrojeniowa w Polsce. 1 września 1939, o 5. rano - wiem to z opowieści mojego ojca, bo o tym mówił nieustannie przez całe życie - bomby spadły na fabrykę, zawały się potężne hangary z samolotami. W czasach mojej młodości to wszystko było jeszcze zawałone, tego nikt nie mógł odgruzować. Ojciec, jako pracownik wojskowej jednostki, został zmobilizowany i wysłany przez Zaleszczyki do Rumunii, gdzie zamierzano pewnie w dalszym ciągu organizować jakieś polskie jednostki. Mój ojciec pojechał do Zaleszczyk. Przeszedłby granicę wraz z rządem polskim, ale przyjechał za późno, ostrzał sowiecki był wtedy tak silny, że ojciec nie mógł tej granicy przekroczyć. Sowieci strzelali ze wszystkich stron, przejście okazało się niemożliwe. Ojciec wracał kilka miesięcy z Zaleszczyk do Białej Podlaskiej. Natychmiast wstąpił do Armii Krajowej i do końca wojny działał, bojąc się o rodzinę, bojąc się o siebie - gdyby jego działalność wykryto, oznaczałoby to wyrok śmierci. Na szczęście żaden z współpracowników ojca, nawet torturowany, nie zdradził. Potem przyszło wyzwolenie. Dopiero wtedy zaczęło się straszne życie. Ojciec ukrywał się, wyjeżdżał na wieś, nie wracał tygodniami, bo obawiał się, że zostanie aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa, co przecież było równie niebezpieczne, jak niemieckie aresztowanie.



Sławomir Pietras i Bogusław Kaczyński

© J. Mullerzowski

Taki typowy polski los...

Pamiętam, pytaliśmy mamy, gdzie jest ojciec, a ona odpowiadała: do Warszawy wyjechał, do Łodzi wyjechał... A on nie wyjechał ani do Łodzi, ani do Warszawy, tylko ukrywał się kilka kilometrów od domu w pobliskiej wsi. Te lata były okrutne dla naszej rodziny. Siostrzeniec ojca, syn jego nieżyjącej siostry, wychowanek właściwie, za pracę w konspiracji dostał wyrok śmierci. Uciekł z transportu - był młody, miał dwadzieścia parę lat, udało mu się wyskoczyć z pociągu. Do końca życia ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem. Tak bardzo się bał, że tylko przesyłał ojcu od czasu do czasu wiadomości, że żyje, nigdy nawet nie zadzwonił.

W tych trudnych czasach Pan rozpoczął swoją karierę, zawsze reprezentując tradycję, wyniesioną z rodzinnego domu. Odcinał się Pan od szarzyzny PRL-u, przeciwstawiał nijakości. Jak legendę opowiada się dziś historię o tym, jak na festiwalu w Łańcucie zażądał Pan od publiczności wizytowych strojów, jak potem straszliwie poniewierały Pana za to gazety.

Pastwiono się nade mną i znęcano. Pewni ludzie nie mogli wybaczyć mi sposobu bycia, tego że chodzę w muszce, noszę garnitury, mam zawsze uprasowane spodnie...

...i że nie jest to udawane, sztucznie wykreowane, lecz naturalne.

To było w moim życiu normalne. Ale to drażniło wiele osób. Pojawiały się artykuły, w bardzo poważnych pismach, typu „robotnicy we frakach - fanaberie Kaczyńskiego”. Było to w owym czasie bardzo nieprzyjemne. Jednak nie zrezygnowałem z tego, co było dla mnie wartością, i w dalszym ciągu robiłem, co do mnie należało. Nigdy się nie ugiąłem, nigdy nie zboczyłem z obranej drogi.

Pańskie zainteresowania wymagały wyjazdów zagranicznych, a to chyba w tamtych czasach nie było łatwe.

Wyjeżdżałem z Polski, wymieniając raz w roku przepisowe 10 dolarów, ale nigdy na brak pieniędzy za granicą się nie uskarżałem. Zacząłem jeździć w czasie studiów. Za te 10 dolarów kupowałem studencki lotniczy bilet, z 50. procentową zniżką, wyjeżdżałem na przykład do Paryża, stamtąd na południe Francji, potem do Włoch, z Włoch znów do Francji i do Polski. Jak to robiłem? Dzięki życzliwości spotkanych ludzi, którzy, widząc takiego sierotę, jeżdżącego autostopem po Francji, pomagali mi. Jeździłem autostopem, bo nie stać mnie było na nic innego. Pęd do tego, żeby pojechać, zobaczyć, być w pewnych miejscach, był silniejszy, niż moje zamiłowanie do wygod. Pamiętam, spałem na dworcu w Mediolanie z torbą podróżną pod głową, żeby mi jej nikt nie ukraść. Rano kąpałem się w umywalni dworcowej, ale byłem na przedstawieniach w La Scali. Oczywiście na wejściówkę - stałem na ostatniej galerii i oglądałem spektakle. Można zobaczyć cały świat, nie mając pieniędzy. Trzeba tylko mieć w sobie żar, pęd ogromny, który prowadzi nas w obrany kierunku. Wtedy nie ma przeszkód.

Po PRL-owskiej prząsności nastąpił wysyp papuziej kultury masowej. Na jej tle w dalszym ciągu Pan, jak Ordon przy swej reducie, stoi na straży dobrego smaku, broniąc hierarchii sprawdzonych wartości. Przyznam, że niekiedy się dziwię, widząc Pana, występującego w programie, w którym obok zasiada ktoś, kogo z Panem skojarzyć nie sposób - jakaś „plastikowa” gwiazdka, na przykład.

Staram się przyjmować zaproszenie do programów telewizyjnych, które mają oglądalność i oddźwięk. Wtedy ma to sens - jest to trybuna, z której się przemawia. Uważam, że trzeba dotrzeć do ludzi, a co im się powie, zależy przecież od nas. Nie mam zahamowań. Kiedy jest mi ciężko, kiedy sytuacja wydaje się podbramkowa, bo są takie momenty, to przypominam sobie i powtarzam słowa - nie jest to bynajmniej kokieteria na użytek chwili, naprawdę tak myślę - słowa, które mnie wzruszyły do łez, które będę pamiętał zawsze, słowa papieża, wypowiedziane w Gdańsku: że każdy człowiek ma swoje Westerplatte, o które jest w stanie walczyć do końca życia. I ja mam swoje Westerplatte i o nie walczę, bez względu na to, czy się to komuś podoba, czy nie. Walczę o swoje ideały. Jest wiele rzeczy, które mi się we współczesnym świecie bardzo nie podobają. Ponieważ żyję w tym świecie, uzurpuję sobie prawo do kształtowania go - na miarę moich możliwości, oczywiście. Krytykuję rzeczy, które, moim zdaniem, idą w złym kierunku. Trzeba zatrzymać ich bieg, zawrócić z niesłusznej drogi. O to walczę.

Może po prostu tak musi być? Może to wszystko samo kiedyś osiągnie jakiś kres?

Samo to się będzie toczyło w stronę przepaści. Kresu głupoty nie ma nigdy, głupota jest bezkresna. W tej chwili obserwujemy, że wszystko dookoła nas jest oddawane w ręce amatorów, dyletantów, ludzi nieuporządkowanych intelektualnie i emocjonalnie. Oni są wyznacznikami naszej cywilizacji. Ja jestem wychowany w świecie wartości, którym na imię fachowość, specjalizacja, wybitne osobowości. Miałem szczęście w życiu spotkać wspaniałych profesorów,



Bogusław Kaczyński z melomanami

na przykład w Akademii Muzycznej w Warszawie. Wtedy, kiedy studiowałem, wykładały tam legendy polskiej kultury muzycznej. Jestem ich wychowankiem i oni nauczyli mnie rzeczy podstawowej i zasadniczej, za co im będę wdzięczny do grobowej deski - fachowości i odpowiedzialności za słowo. Dzisiaj profesorami w Akademii Muzycznej są najczęściej moi nieutalentowani i nieudani koledzy, którzy drogą tak zwanego zasiedzenia, najpierw poprzez przynależność do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, potem asystentura, potem adiunktura, w końcu profesura... Pytam: kogo oni mogą nauczyć, czegoś, czego sami nie wiedzą i nigdy nie posiadli? Kiedy skończyłem studia, zapytałem mojego wspaniałego profesora i wychowawcę, Witolda Rudzińskiego, zapytałem z nieśmiałością - wówczas byliśmy onieśmieleni wobec naszych profesorów - czy mógłbym liczyć na to, że zostanę na uczelni i dostanę asystenturę. Witold Rudziński, potem mój wieloletni przyjaciel, wtedy powiedział mi: nie. Byłem speszony, zawstydzony. Profesor dodał: przez dwadzieścia pięć lat będziesz jeździł, poznawał świat, uczył się i po dwudziestu pięciu latach wrócisz do uczelni. Odszedłem z kwitkiem, wtedy nie rozumiałem jeszcze słów profesora. Byłem młody, rozpieszczony sukcesami, wtedy już pisałem, występowałem w telewizji, wydawało mi się oczywiste, że zostanę na Akademii. Proszę sobie wyobrazić: minęło 25 lat, zatelefonował do mnie rektor Andrzej Chorościński i zaproponował mi prorektorat w Akademii Muzycznej w Warszawie. Wszedłem do gabinetu uczelni, myślałem o moich profesorach, także o Karolu Szymanowskim, którego portret miałem w swoim gabinecie, i o tym, że dziwny jest świat, a my wielu rzeczy nie rozumiemy, dopiero po latach przyznajemy



Sławomir Pietras,
Józef Kański i Bogusław Kaczyński w Sękowej Woli

rację tym, którzy je nam mówili.

To wielkie szczęście - zetknąć się w młodości z wybitnym profesorem. Dzisiejszy model edukacji coraz rzadziej opiera się na relacji mistrz - uczeń.

W moich czasach to była podstawowa zasada. Myśmy byli gotowi nosić teczki naszych profesorów, przynosić papierosy czy zapałki z kiosku. Ale to byli wspaniali ludzie, gruntownie wykształceni, całym życiem oddani swojej pracy. Wielcy.

Mistrzem dla swoich uczniów był także Adam Didur. Przyjechał Pan, jako gość, nie po raz pierwszy, na festiwal imienia Adama Didura. Co Pan sądzi o tym przedsięwzięciu?

Niezwykle wysoko cenię imprezy, które odbywają się w miejscach, związanych z jakąś postacią, a cóż dopiero, jeśli jest to wielki, światowej sławy, artysta polski, który niestety - jako że to jest w Polsce - popadł w lekkie zapomnienie. O Adamie Didurze mówi się odwrotnie proporcjonalnie do jego pozycji w światowej historii opery. Staraniem dyrektora Waldemara Szybiaka i jego współpracowników potrafiiono stworzyć festiwal, o którym się mówi. O tym, że jest festiwal w Sanoku, wiadomo już w Polsce. Kiedy mówiłem, że wyjeżdżam na południe Polski, do Sanoka, słyszałem: na festiwal Didura pewnie. Jest to pierwszy krok do tego, żeby ten festiwal jeszcze bardziej promieniował. Ale może bardziej promieniować nie dzięki zasługom organizatorów, bo oni swoje zrobili. Teraz trzeba ich wesprzeć. Apeluję do władz: wesprzyjcie ambitną inicjatywę, która może rozświecić wasz region nie tylko na Polskę, ale na Europę, na świat. Bo Adam Didur jest znany na świecie. I tylko boleję, że w wielu encyklopediach światowych czytamy: „Adamo Didur, basso russo”. A to nie rosyjski, tylko polski śpiewak, wykształcony w polskiej szkole śpiewu we Lwowie u Walerego Wysockiego i związany z ziemią, na której się urodził. Festiwal im. Adama Didura to niezwykle cenna i piękna inicjatywa, popieram ją absolutnie. Przyjechałem do Sanoka, choć na chwilę, bo nie mogłem odmówić, żeby nie być i nie wesprzeć tego festiwalu.

XIX Festiwal im. Adama Didura
Wrzesień 2009



© Małgorzata Sienkiewicz-Woskiewicz
m.sienkiewicz@interia.pl